



**You have downloaded a document from  
RE-BUS  
repository of the University of Silesia in Katowice**

**Title:** Geometra i nawigator

**Author:** Monique LaRue, Krzysztof Jarosz (przekł.)

**Citation style:** LaRue Monique, Jarosz Krzysztof (przekł.). (2008). Geometra i nawigator. „Er(r)go” (Nr 17, z. 2, 2008, s. 105-120)



Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach - Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja.



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

## Geometra i nawigator<sup>1</sup>

Pisarz nie jest godzien swego miana, jeśli w ten czy inny sposób nie potrafi snuć refleksji o swoim społeczeństwie, a można to robić na nieskończoną ilość sposobów. Sam zamysł pisania nie daje w tym względzie żadnych kompetencji, ale pisarz jest intelektualistą. Ten, który pisze, żyje między ludźmi, choćby otaczał się najściślejszym murem milczenia i samotności, jest – jak powiada Hannah Arendt – „dłużnikiem świata”. Literatura nie zwalnia go z żadnych zobowiązań.

Kwestia transkultury<sup>2</sup> zyskała już sobie prawo obywatelstwa w literaturze, mogłabym zatem wygodnie rozprawiać o pięknie i płodności metyzacji, o hybrydyzacji, o przekraczaniu granic w literaturze. Wydaje mi się wszakże, że problematyka ta nie ma wyłącznie jasnych stron i nie jest postrzegana na płaszczyźnie li tylko estetycznej. Praktyka powieściopisarza nauczyła mnie jednej rzeczy, a mianowicie nieodrywania się od rzeczywistości, wczepiania się w nią i bezustannego do niej powrotu, żeby ją pochwycić, ponieważ – co powszechnie wiadomo, ale szybko się o tym zapomina – słowa mogą nas unieść daleko od rzeczywistości. Podobnie jak myśl, powieść rodzi się z prywatnych lub publicznych zdarzeń, których sensu poszukuje, opowiadając o nich, a one pozwalają jej oddziaływać na świat, na swoją epokę. Jeśli się nad tym zastanowić, jest to powinność natury etycznej, tyle że kiedy powieści są już napisane, trzeba je wydać. Literatura jest czynem a świat czeka na powieść. Rozpocznę od rzeczy trywialnych. Od przykładu. Od transkultury przeżywanej poprzez rzeczywistość instytucji literackich i kulturalnych, promocji nowo wydawanych książek, w których uczestniczą pisarze. Słyszę tam wypowiedzi mniej wprawdzie kategorię niż opinia wyrażona przez pana Jacques’a Parizeau po ogłoszeniu wyników drugiego referendum<sup>3</sup>, lecz przywołujące podobne demony.

Ostatnio miałam sposobność porozmawiania z pewnym pisarzem, którego można określić jako rodowitego Quebecczyka<sup>4</sup>, choć wzdramam się przed tym określeniem, które zmuszona jestem wszelako użyć, by pozostać w zgodzie z faktami. Z dwojga złego wolałabym go określić jako francuskojęzycznego pisarza kanadyjskiego, by podkreślić poczucie „heroicznego utożsamienia z przeszłością”, które – jak powiada Louis Hémon – ożywia Franko-Kanadyjczyków. Mogłabym też odwołać się do piosenki Claude’a Gauthier<sup>5</sup> i powiedzieć, że jest narodowości quebecko-francuskiej, czy wreszcie określić go mianem miejscowego z dziada pradziada<sup>6</sup>. Ile zachodu, żeby wyrazić rzecz najprostszą na świecie, a przecież wystukując ją, napotykam opór klawia-

tury mojego komputera: podobnie jak moi rodzice, dziadkowie i większość przodków owego pisarza, choć z całą pewnością nie wszyscy, są potomkami francuskich osadników przybyłych do Ameryki w XVII lub XVIII wieku, o czym być może powinniśmy zapomnieć. Wrócę do tego później.

Gdy tak gawędziliśmy razem, niedługo po referendum 1995 roku, nie pomnę już z jakiego powodu, ale w sposób, który mi się nie spodobał, arogancko i prowokacyjnie, pisarz ten zaczął dowodzić, że nasze instytucje literackie opanowywane są przez imigrantów, w jego mniemaniu przecenianych, by nie rzec niesłusznie faworyzowanych przez komitety nagród literackich. Pisarz ten podawał na przykład w wątpliwość liczne zaszczyty, jakimi obsypano niedawno samego tylko Sergia Kokisa<sup>7</sup> czy też sukcesy Ying Chen<sup>8</sup> i Davida Homela<sup>9</sup>. Proszę tych troje wybitnych pisarzy o wybaczenie, że mieszam ich do naszych rodzinnych sporów. Gdyby chodziło tylko o zwykłą pisarską zazdrość, nie uznałabym, że jest to wystarczający powód, by o tym mówić, ale w swym rozumowaniu pisarz ten posunął się dalej. „Czy zauważyłaś – zapytał – że całe najnowsze pokolenie pisarzy imigrantów tworzy dzieła niemające nic wspólnego z tym, co zawsze nazywano literaturą quebecką, utwory, które w żaden sposób nie wpisują się w jej historię, w logikę jej rozwoju, które nie podejmują właściwego jej poszukiwania tożsamości, nie nawiązują do systemu jej odwołań, jej intertekstualnej dynamiki, jej imaginarium, nie stosują jakiegokolwiek z językowych środków właściwych stylistyce literatury quebeckiej, czyli w sumie pomijają to wszystko, co odróżnia ją od innych literatur francuskojęzycznych?” „Czy nie uważasz – ciągnął – że jest rzeczą niezrozumiałą, by ci pisarze, których twórczość ani treścią, ani formą nie wpisuje się w ramy naszej literatury, mieli reprezentować literaturę quebecką za granicą czy to na poświęconych jej konferencjach, czy też na quebeckich stoiskach w czasie rozmaitych targów księgarskich czy wystaw? Pisarze ci – dowodził coraz bardziej stanowczo mój rozmówca – nie powinni być częściej niż to wynika z ich liczebności reprezentowani w naszych instytucjach literackich, zapraszani do udziału w komitetach przyznających stypendia twórcze czy subwencje dla wydawców, albowiem są to instytucje, które sobie z trudem wywalczyliśmy i stworzyliśmy, oni zaś przyjechali tutaj na gotowe, wykorzystują nasz system i zaraz potem wyjeżdżają sobie z trzema paszportami w kieszeni, publikować gdzie indziej, bo każdy przecież wie, że w Paryżu zadebiutować nie sposób. Co więcej, mniej naiwni, bardziej sprytni niż my, pisarze ci wzajemnie się wspierają. Są też bardziej uwrażliwieni na problematykę zagraniczną niż na nasze sprawy. W rzeczywistości, przecież doskonale o tym wiesz, nie czytają nas wcale i nie znają naszych autorów z poprzednich epok, nie znają naszej literatury, nie są i nie chcą się stać jej częścią, choćby tylko tak jak to robili dawniej imigranci, opowiadając

o swojej drodze ku naszemu społeczeństwu czy o doświadczeniu, jakim jest dla nich nasza literatura. Dajemy się okradać z naszych nagród literackich, a przecież – utrzymywał – te nagrody mają sens tylko w kontekście literatury quebeckiej. Z poczucia winy, przez wzgląd na polityczną poprawność, ulegając kompleksowi skolonizowanej mniejszości, pozwalamy, żeby uzurpowali sobie prawo do naszej literatury, przestaliśmy brać odpowiedzialność za jej sens, historię, specyfikę i przyszłość”.

Czułam się wyjątkowo zażenowana jego słowami, ale nie wiedziałam jak mu odpowiedzieć. Nie pierwszy raz słyszałam takie opinie. Często w czasie obrad jakiegoś komitetu przyznającego nagrodę literacką, kwestia ta nie była może otwarcie podejmowana, ale wyczuwalna. – Cóż za absurd! – pomyślałam. – Czy do komitetów nagród literackich mamy zapraszać socjologów, etnologów, demografów? Transkultura to szlachetna idea, ale w rzeczywistości, nawet u estetyków ciągle jeszcze dominuje poczucie przynależności etnicznej.

Założmy, że wystarczająco dobrze znam tego pisarza, żeby mieć pewność, iż nie przemawiała przez niego wyłącznie interesowność, że – jak to się mówi – w pewnej mierze jego opinia była wyrazem obawy nie tylko o jego indywidualny los beneficjenta subwencji, ale także troski o tożsamość unikalnej<sup>10</sup> literatury quebeckiej, w konsekwencji więc również o wspierające tę literaturę instytucje, bez których nie mogłaby ona istnieć. Niemniej – myślałam – mój kolega podważa oto pojęcia tak drogie pisarzowi jak wolność myśli, wolność publikacji, krótko mówiąc wolność słowa, proponując ni mniej, ni więcej tylko formę zawołowanej milczącej cenzury pewnej kategorii pisarzy, posługując się przy tym logiką nie wypływającą z przesłanek etycznych, lecz opartą na kryteriach etniczno-kulturowych.

Nie mogłam zapomnieć o tej rozmowie, ponieważ dręczyło mnie, że nie potrafiłam zaoponować, ale też i to, że opinia tego pisarza była w pewnym sensie słuszna, a przecież powieściopisarka nie może nigdy, przenigdy, negować faktów, łagodzić ich wymowy czy też interpretować je, przyjmując za punkt odniesienia bądź czyjeś opinie, bądź swoje własne ideały. Prawdą jest – mówiłam sobie – że przypisaliśmy literaturze quebeckiej misję służenia nam za ojczyznę i za fundament tożsamości, teraz zaś, podobnie jak społeczeństwo, znajduje się ona na rozdrożu. Jej znak firmowy, jej prawnie zastrzeżona nazwa musi ewoluować albo zniknąć. Nie interesują mnie biurowe waśnie, ale nie mogę przejść obojętnie wobec samego problemu; nie mogę też uznać za nieistniejącą rewindykacyjnej postawy mojego kolegi. Nasza literatura była dotychczas środkiem wyrażania pewnego wspólnego świata, wspólnego i względnie jednorodnego doświadczenia, toteż rzadko próbowaliśmy zdefiniować, kim jest quebecki pisarz. Jeśli na płaszczyźnie politycznej musimy obecnie myśleć o naszym społeczeństwie jako o świecie niejednorodnym,



pluralistycznym, różnorodnym i kosmopolitycznym, to jaką będzie w przyszłości quebecka literatura? Czy będzie można jeszcze mówić o literaturze narodowej? Jak wyobrazić sobie skrzyżowanie tej literatury w kształcie, w jakim istnieje dotąd, z literaturą taką, jak ją postrzega inny; czy będzie to literatura inna, nieznaną, dopiero do wymyślenia? Czy różnorodność perspektyw stworzy jeszcze *jakąś jedną* literaturę, literaturę wyróżniającą się spośród innych specyficznych literatur, czy też będziemy mieli wkrótce tyleż literatur co grup etnicznych?

Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że subwencje dzielić należy pomiędzy wszystkich obywateli, niezależnie od ich pochodzenia czy wyznawanej koncepcji sztuki, że skład komitetów nagród literackich powinien jak najdokładniej odzwierciedlać obecną niejednorodność środowiska artystycznego. Trudniej wyobrazić sobie transformację literatury, jej przejście od jednorodności do różnorodności, jeśli zmiana ta ma się dokonać. Bo czy jej chcemy? Po tym, co usłyszałam, miałam podstawy, by w to wątpić. Pomyślałam sobie, że te uporczywie powracające pytania mogą uznać za nieistniejące lub też starać się je zrozumieć i na nie odpowiedzieć jedynie ci, którzy uprawiają sztukę pisarską i publikują swoje dzieła, choćby nawet dotyczyło to obrzydliwych i jątrzących spraw, niemających nic wspólnego z tym, co lubię w literaturze i w pisarstwie. W końcu przez ostatnie dwadzieścia lat z miłości do literatury robiłam wiele rzeczy, których nie lubię, jak choćby pozwalałam się malować makijażystce albo pozowałam w studio. Dlatego też, chociaż przeraża mnie ten rodzaj debaty, coś w głębi mojego sumienia zmusza mnie do przyznania, że nie mogę w dalszym ciągu uprawiać literatury, pozostawiając jednocześnie ten problem poza nawiasem mojej praktyki twórczej i przemysłów.

Pisarz, o którym wam opowiadam, nie jest faszystą, imbecylem czy człowiekiem niewrażliwym. Nie jest też wyalienowany czy pozbawiony wpływów. To po prostu pisarz przyjmujący etniczną logikę swojego społeczeństwa i wyznający mniejszościową logikę swojej kultury, kultywujący jej tradycję w formie resentymentu. Wyrażane przez niego opinie przypominały mi mieszane uczucia, z jakimi przyjęto *Marie Chapdelaine*<sup>11</sup>, powieść o ludziach stąd napisaną przez obcokrajowca, jak również słynne zdanie księdza Casgrain<sup>12</sup>: „Będziemy mieli literaturę miejscową, własną, oryginalną, żywotną ekspresję naszego ludu, jednym słowem literaturę narodową [...] będzie ona wiernym odbiciem tego, czym jest nasz mały naród”. Gdy na nią spojrzeć ze współczesnej perspektywy, literatura quebecka – rozpatrywana jako autonomiczny i jednorodny korpus skupiony na wyrażaniu tożsamości narodowej – ujawnia swoje zakorzenienie w etnicznej koncepcji społeczeństwa; ta wizja od dawna kształtowała jej definicję. Specjaliści definiują grupę etniczną jako spójną poczuciem przynależności w stosunku do krewnych wstępnych

i zstępnych. Zasadniczymi cechami wyróżniającymi grupę etniczną są język, religia i przynależność narodowa. Członkowie grupy etnicznej mają skłonność do pozostawania wewnątrz granic swojej wspólnoty. Ponieważ język jest domem i jedyną ojczyzną pisarza – myślałam sobie – jest rzeczą normalną i nieuniknioną, że pisarz w pierwszym rzędzie utożsamia się z językiem, w którym tworzy. Jest rzeczą naturalną i często spotykaną, że utożsamia się z mówiącą tym językiem grupą, jak naturalne jest, że z obowiązku i z głębi serca broni praw tej grupy do swojego języka i kultury. Pisarz zawsze był bardem, koryfeuszem swego plemienia. Pisarstwo jest lokalne poprzez język, którym się posługuje, język i naród są z sobą nierozzerwalnie związane.

Pisarz jest ponadto także skrybą, kapłanem pamięci. Kiedy uprawia się literaturę, zakłada się, że pisze się książki dla przyszłych pokoleń, przeznaczone nie do bieżącej konsumpcji, lecz do skomplikowanych, rozłożonych w czasie odczytań. Książka, taką jak ją pojmuje literatura, przekracza granice pokoleń. Pisarz jest zatem kimś, kto uznaje głębię przeszłości, jej wpływ na świadomość odbiorców i na teraźniejszość. Pisarz nie byłby pisarzem, gdyby nie był obdarzony świadomością historyczną.

Jeśli to, co socjologowie nazywają świadomością etniczną, naznaczone jest przynależnością do grupy zdefiniowanej poprzez język, pokolenia przodków i potomków, pisarz jest w naturalny sposób wyposażony w świadomość etniczną, z której, jeśli zechce, uczynić może istotny składnik swojego dzieła. Za każdym razem, gdy piszę „ja”, za owym „ja” kryją się legiony poprzedzających mnie „ja”, głos i doświadczenie zmarłych, których pokolenia przekazały mi swój sposób kochania, obaw i radości, jakie odczuwali wobec życia, to, co nazywa się określonym rodzajem wrażliwości. Literatura może być jedynie pamięcią czyli zapisem tego sięgającego pryncypów „my”, rozproszonego i przekształcanego w indywidualnych wypowiedziach teraźniejszości, a nasza literatura w oczywisty sposób uczyniła z tej filiacji swój najistotniejszy wyznacznik. Jeśli jednak Quebec ma się stać społeczeństwem opartym – jak wyjaśnia Fernand Dumont – już nie na narodowości w znaczeniu etnicznym, lecz na narodowości w sensie obywatelskim, na *wspólnych racjach*<sup>13</sup>, to jak wyobrazić sobie opartą na „wspólnych racjach” literaturę? Co o tym sądzą pisarze, przeciwko którym występuje mój kolega po piórze? Czy są, jak uważa, obojętni na wspólny świat, na wspólną literaturę? Skądinąd te dwie kwestie nie są bynajmniej zbieżne.

W pewnym sensie mój kolega uznał za niewybaczalne to, że imigrant też nie zapomina o swojej przeszłości. Pomyślałam sobie, że mój kolega pisarz odmawia innym prawa do pojmowania literatury w odmienny sposób, myślenia o niej inaczej, zarzuca im, że nie pojmują jej na sposób etniczny. Postuluje, żeby się choć trochę „zetniczowali”, żeby stali się członkami naszego klanu

i zaczęli nosić nasze barwy! Jeśli ci pisarze imigranci chcą stać się częścią literatury quebeckiej – zdaje się implicytnie sugerować mój kolega po piórze – to niechaj ją czytają i przyswoją sobie jej treści. To, co zwie się asymilacją, polega na sprawieniu, aby mniejszości etniczne wyrzekły się swojej rodzimej kultury na rzecz zachowań i wartości grupy dominującej. Jej przeciwieństwo nosi nazwę *ethnic revival*. Pomyślałam sobie, że mój kolega domaga się implicytnie od pisarzy imigrantów tego, czego społeczeństwo quebeckie mogłoby domagać się od neo-Quebekczyków<sup>14</sup>: żeby zasymilowali się, zapomnieli skąd pochodzą, kim są. A gdyby tak oni zażądali od nas, żebyśmy to my wyrzekli się naszego *ethnic revival*? Każdy domagałby się od drugiego, żeby zapomniał o swojej przeszłości!

Pisarz, którego teraz przywołam, to artysta w pełnym tego słowa znaczeniu. Osobiście uważam Louis-Ferdinanda Céline’a<sup>15</sup> za obdarzonego jedną z największych wrażliwości, jaką wydały nasze czasy, za wspaniałego artystę. To, że granicząca z geniuszem wrażliwość mogła przez całe życie współzamieszkiwać w Céline’ie z największym politycznym zaślepieniem pozostaje dla mnie tajemnicą natury ludzkiej, faktem, z którego powinniśmy wyciągnąć lekcję. Poczucie, że jednorodność przeszłości jest zagrożona przez imigrację: oto obawa, którą wyraża mój kolega uważając, że zagrożona jest jego literatura. To obawa podobna tej, którą Louis-Ferdinand Céline odczuwał o swój język i kraj w Paryżu lat 1930. Wobec tego rodzaju zagrożenia ludzie obdarzeni największą wrażliwością, w sposób najbardziej wnikliwy odczuwający swą przynależność do wspólnoty i języka, mogą nie dopuszczać do siebie racjonalnych argumentów, pograżając się w irracjonalnej nienawiści. Nie ma nieistotnych zdarzeń, każdy szczególny przypadek ma swoje znaczenie.

W idealnym świecie geniuszy literatury, w świecie Nabokova, do którego się teraz odwołuję, wiadomym jest, że „uniwersalna rodzina utalentowanych pisarzy nie zna narodowych barier, podobnie jak uzdolniony czytelnik to uniwersalna figura niepodlegająca prawom czasu i przestrzeni”. Prawdą jest, że kwestie przynależności i tożsamości czy też wizja literatury etnicznej w niewielkim jedynie stopniu dotyczą autentycznej i samotnej kondycji jednostki, która u progu XXI wieku świadomie podejmuje i kontynuuje twórczość literacką. Gdyby literatura quebecka sprowadzała się tylko do poszukiwania odpowiedzi na pytania: „Czym jest literatura narodowa w sytuacji, gdy słowo »naród« zmienia znaczenie i nie oznacza tej samej co przedtem rzeczywistości?”, dawno już przestałabym ją czytać, jak zresztą uczynili niektórzy z moich przyjaciół, wspaniali czytelnicy zniechęceni zaściankowością<sup>16</sup> naszej literatury, albowiem czytelnik cieszy się o wiele większą wolnością niż pisarz.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłabym się wziąć za politykę, a przecież publikowanie w Quebecu, czy się tego chce czy nie, pomijając inne

mniej lub bardziej dające się rozwiązać problemy, oznacza również uwikłanie i w ten, pomimo odrazy, jaką wzbudza. Pisarz żyje pomiędzy ludźmi a literatura to przestrzeń wspólna, a zatem polityczna. Niektórzy z „utalentowanych pisarzy”, o których mówi Nabokov, mają bez wątpienia moc ignorowania narodowych barier. Moje gratulacje! Jednak gdyby nie było literatur narodowych, w całym obecnym świecie istniałaby zaledwie garstka pisarzy takich jak Salman Rushdie, Umberto Eco, Vargas Llosa, Alvaro Mutis czy Milan Kundera, w liczbie których, czy ja wiem?, znalazłby się może jeden czy dwaj nasi rodacy. Jest natomiast rzeczą pewną, że nie istniałaby większość żyjących teraz pisarzy. Pisarze ci nie publikowaliby w swoich językach, żaden z nich nie mógłby uprawiać w obszarze swej kultury zawodu pisarza. A gdyby tak było, to rodzi się pytanie, czy istnieliby wówczas Rushdie, Eco, Llosa, Mutis czy Kundera? Być może tak. Może literatura, która jest w chwili obecnej planetarna i światowa, zinternacjonalizowana, obaliła już granice tak, jak podobno stało się niedawno w świecie Internetu. Nie jestem jednak tego pewna.

Po licznych doświadczeniach ze światem wydawców francuskojęzycznych mam natomiast całkowitą pewność, że narodowe bariery, co do których – podobnie jak Nabokov – sądzę, że ich znaczenie w literaturze jest minimalne, istnieją i mają głęboki sens w świecie książki, a przecież literatura jest nierozzerwalnie związana z książką. Czym jest literatura bez nośnika, jakim jest książka? Jako publikujący pisarz zmuszona jestem przyznać, że coś takiego nie istnieje. Przynajmniej na płaszczyźnie wydawniczej pisarz nie może obecnie uniknąć przynależności do literatury narodowej, chyba że przystałby na to, aby literatura podlegała odtąd prawom międzynarodowego rynku wydawniczego, nie zaś kryteriom artystycznym.

W konsekwencji, dla nas pisarzy istotnym jest pytanie, co rozumiemy przez literaturę quebecką i jaką naszym zdaniem powinna być, czy jest do tego stopnia związana z polityczną przyszłością Quebecu, że utraci swoją tożsamość w przypadku gdyby naród quebecki nie uzyskał politycznej niepodległości; co mamy na myśli, gdy mówimy quebecki pisarz? Jak się zapewne domyślacie, mój kolega nie ma wątpliwości, że niepodległość Quebecu sprzyjałaby czy też będzie sprzyjać rozprzestrzenieniu się literatury quebeckiej w międzynarodowym obiegu literackim, za pewnik uważa również, że obecna dwuznaczna sytuacja polityczno-kulturowa Quebecu stanowi przeszkodę w jej międzynarodowym odbiorze. Rozwiązanie miałyby przynieść polityka. Jednakże, podobnie jak nie istnieją intelektualne rozwiązania problemów natury emocjonalnej, nie istnieją również polityczne rozstrzygnięcia problemów literackich. Jak zatem literatura narodowa przystępuje do swojego „odetnicznienia”?

Podobnie jak w każdej istocie ludzkiej, również w pisarzu, poza poczuciem przynależności etnicznej istnieje wiele innych określających go wy-



znaczników. W każdym artyście istnieje przede wszystkim siła całkowicie przeciwstawna do poczucia etnicznej przynależności. Sprawia ona, że artysta odczuwa potrzebę oderwania się od rodzinnej ziemi, od swojej rodziny, od etnicznego wymiaru języka i zerwania wszelkich więzów, by pożeglować gdzie indziej, ku nowemu, ku nieznanemu. Czyż źródeł każdego dzieła sztuki, każdej autentycznej twórczości, od Platona po współczesność, nie powinno się upatrywać w większym stopniu w oderwaniu niż w zakorzenieniu, zwłaszcza teraz, gdy nie ruszając się z miejsca można oderwać się od samej rzeczywistości, nawigując po bezgranicznym oceanie cyberprzestrzeni wirtualnego uniwersum? W tym przypadku nie chodzi rzecz jasna o sztukę, ale o technologiczną możliwość, którą musimy jednak brać pod uwagę. Teraźniejszość – myślałam sobie – pokazuje nam, że w cyberprzestrzeni nie obowiązują już narodowe granice, że nie sposób stosować w niej ziemskie prawo, toteż prawdopodobnie nie ma powodu, żeby zabierać tam z sobą rzecz tak bardzo związaną z kultem ziemi i zmarłych jak etniczna świadomość. Artystą jest ten, kto, jak wędrowcy Baudelaire’a, „lekko niczym balony wznoszące się w niebo” wyrusza w drogę „nie wiedząc dlaczego”, „przed ojczyzną uchodzą[c] zhańbioną”<sup>17</sup>.

Bardziej niż kiedykolwiek przedtem każdy artysta uświadamia sobie, że etniczna tożsamość jest lub wkrótce stanie się reliktem przeszłości i że kult etniczności to nowe opium narodów. Tym samym coraz bardziej możliwy do zrealizowania okazałby się ideał Oświecenia, którego duch z takim trudem przebijał się w naszym kraju<sup>18</sup>. Teraz też, bardziej niż kiedykolwiek, powinniśmy uważnie odczytać słowa Nietzschego: „Ale ojczyzny nie znalazłem nigdzie. Przechodniem jestem w każdym mieście, tułaczem pod każdą bramą. [...] I oto wygnany jestem z ziem ojczystych i macierzystych. I kocham jeszcze tylko ziemię dzieci swoich, tę nie odkrytą, na wielkich rozłogach mórz dalekich. Tej ziemi, tej krainy nakazę żaglom swoim szukać i szukać bez końca”<sup>19</sup>. Szczęśliwi ci filozofowie, co nie znają narodowych granic – myślałam.

Dwie postaci współzamieszkują i wyrywają sobie naszą duszę – wyobraziłam sobie wówczas wchodząc w skórę powieściopisarki. Jedna z nich to mierniczy, geometra<sup>20</sup>, druga to nawigator. Geometra to człowiek uwielbiający mierzyć, przywiązujący się do ziemi, człowiek określonego terytorium. Niczym Europejczyk przemierza dziewicze krainy, przestrzenie Ameryki. Powiada: zmierzyłem ten obszar, przewędrowałem go wzdłuż i wszerz, należy do mnie, tędy nie przejdiesz. Geometra tworzy granice. Grodzi, palikuje. Jego księgi katastralne pozwalają dawać w spadku, przekazywać. Ale czy ten, kto przekazuje, nie jest po stronie pisania? Czyż geometra nie opisuje ziemi? Geometra uczyłowiecza, cywilizuje krajobraz. Zgłębia tożsamość człowieka i miejsca. Tworzy swoją niszę, zamieszkuje świat i na swój sposób

go kształtuje. Mierzy powierzchnię ziemi na rolniczą modłę, sprowadza nas do naszych agrarnych prapoczątków. Pomyślałam sobie, że cała obecna wizja Quebecu jest dziełem mierniczych-geometrów. Głos geometry powiada: uporządkowaliśmy tę przestrzeń. Wy, którzy przybywacie, by tu zamieszkać, wstąpcie w nasze szeregi. Pochodzimy od francuskich założycieli kraju, posiadamy terytorium i literaturę, których jesteście spadkobiercami i wyłącznymi właścicielami, obdarzonymi historyczną świadomością legalności naszych praw. Pochodzimy ze świata, którego miejsca i granice nazwaliśmy i stworzyliśmy. Jesteśmy narodem: łączy nas wspólne pochodzenie, wspólna przeszłość i wspólny świat.

Jednak współczesny – na przykład kafkowski – geometra, wie, że niczego nie posiada się z mocy pochodzenia. Geometra-pisarz wie, że to, co bliskie, co swojskie, bezustannie się od nas oddala, wymyka i, jeśli pozwolicie mi na aluzję do tytułu jednej z moich powieści, wie również, że jakiś krab sabotuje wytyczone przez niego linie i jego pracę<sup>21</sup>. Terytorium jest już ogrodzone, już do was nie należy, jacyś ludzie byli tu przed wami, jacyś przyszli też po was – odzywa się drugi głos, czyli głos innych. Zawsze przybywać będą owi nawigatorzy, odkrywcy, którzy – jak każdy prawdziwy artysta – wyruszają w nieznane, żeby znaleźć coś nowego, nomadzi, co nie zniżą się do mierzenia ziemi, ci, co wiedzą – zwłaszcza teraz, gdy cała planeta jest już obmierzona – że ziemia należy do wszystkich. Świat od zarania dziejów i po wsze czasy jest niejednorodny, podobnie jak różnorodne są punkty widzenia. Waszego spadku nie zapisano w żadnym testamencie, albowiem żadne ludzkie pokolenie nie jest w stanie zrozumieć swych poprzedników – powiadają owi nawigatorzy. Bronimy prawa każdego do początku, a prawo do początku nie jest nigdy niczym poza prawem do narodzin, do dalszego życia. To prawo jest wolnością, której nie jest w stanie ograniczyć jakikolwiek spadek, testament czy przodek.

Zarówno za czasów Germaine Guèvremont, jak i dzisiaj, bardzo dobrze jest być Przybyszem<sup>22</sup>. Kiedy zobaczyłam Serbów wykopujących zwłoki swoich zmarłych, pomyślałam, że trzeba być nieufnym wobec kultu ziemi. Nadal utrzymuje się w mocy dawny model, w którym za normalne uważano, że jego formuła została raz na zawsze ustanowiona przez założycieli i że rola nowo przybyłych ogranicza się do bezwarunkowego podporządkowania się zastanym regułom. Formuła ta jest coraz bardziej odczuwana jako źródło ograniczeń w chwili, gdy nasze dzieci stały się już nawigatorami. A ja „miłuję jedynie dzieci moich krainę” – powiada Zaratustra<sup>23</sup>. Jak można nie zauważyć, że niedające się zmierzyć terytoria świata informatycznego, owe horyzonty, które nie wiedzieć gdzie jeszcze zawiodą ludzkość, z pewnością na zawsze zmieniają percepcję tego, co nazywamy Quebeciem, a w konsekwencji także quebecką literaturę? Wkrótce to, co nazywamy Quebeciem, w jakimś sensie

nie będzie już miało nic wspólnego z tym, co nie tak dawno jeszcze Quebeciem nazywał pan Parizeau a ksiądz Casgrain „naszym małym narodem”.

Postać literacka jest zawsze ucieleśnieniem jakiegoś sposobu bycia-w-świecie, toteż geometra czy nawigator są niejako dwoma obliczami naszej tożsamości. Tożsamość zawsze jest czymś złożonym, nigdy jednorodnym, ponieważ tożsamość to przejaw świadomości, ta zaś rozwija się w czasie, który jest mobilny. Pamięć i antycypacja nakładają się na siebie, spierają się i wyrwują sobie teraźniejszość. Prawdopodobnie to właśnie mają na myśli socjologowie, gdy w swym języku stosują pojęcie etnicznej mobilności. Zawsze istnieje stopniowość przynależności. Pozycja jednostki w łonie tworzących populację grup etnicznych podlega bezustannym przemieszczeniom. Dziecko nie ma nigdy tego samego poczucia przynależności etnicznej co jego rodzice. „My” pana Parizeau nie może zatem być całkowicie tożsame z „my” księdza Casgrain, bowiem tożsamość etniczna jest w tym samym stopniu przejmowana co wytwarzana. Nasza również może się zmieniać. I zmienia się! Jeśli pisarze nie są w stanie wyobrazić sobie świata, w którym coraz mniej zasadnym jest skupianie się na wyrażaniu swej tożsamości i na przynależności etnicznej, to czyż nie jest rzeczą naturalną, że przywódcy państwa i pozostała część populacji również nie są w stanie tego uczynić? Być może pan Parizeau powiedział to, co powiedział, ponieważ pisarze quebeccy piszą to, co piszą? Czy dlatego, że literaturze quebeckiej nie dostaje wyobraźni? Z całą pewnością to na pisarzach i artystach spoczywa zadanie zmiany punktu widzenia, posłużenia się swoją wyobraźnią, a zatem przeprowadzenia dwóch elementarnych operacji, jakich dokonuje powieściopisarz, ponieważ – co zrozumiałe – wolę przemawiać z pozycji mojego zawodu.

Oderwanie się od przeszłości i wyobrażanie sobie przyszłości wymagają w istocie tyle samo, może nawet – powiedziałabym – więcej wyobraźni niż myślenie o tożsamości, gdy się wychodzi od przeszłości, lecz wyobraźnia nie jest cnotą, którą zbyt cenila sobie nasza literatura. Wyobrażanie nie oznacza zresztą po prostu zwrócenia się ku przyszłości. Ktokolwiek któregoś dnia naprawdę spróbował stworzyć to, co zwie się „postacią”, wie, że wyobrażać to zawsze przymuszać się, by pożeglować ku całkiem innemu, to przekraczać granicę. Nie mówię tu może o wyobraźni nadrealistów, lecz o wyobraźni w znaczeniu, jakie nadają jej filozofowie. Wyobrażanie – powiada Kant – jest właściwością rozumu, to zdolność uobecniania tego, co nieobecne, stawiania się na miejscu kogoś całkowicie od nas odmiennego. Tak pojęta wyobraźnia jest właściwością polityczną i moralną. Chodzi nie tyle o myślenie jak inny, o dzielenie bezpośredniości innego, o podszyte fałszem frazesy o utożsamianiu się z innym. Każdy, kto choć raz stworzył „postać” powieściową, wie dobrze, że pierwszą powinnością powieściopisarza jest uszanowanie tajem-

nic swoich postaci, niedokonywanie gwałtu na ich intymności. Chodzi zatem raczej o zdobycie się na wysiłek wyobrażenia sobie, jaką byłaby nasza myśl, gdyby była gdzie indziej. Kant powiada: „wznieść się ponad zmysły do wyższych władz poznawczych”<sup>24</sup>. Wyobraźnia jest przeto tym, co pozwala nam ogarnąć ideę różnorodności, przyjąć wielość perspektyw tworzących wspólną przestrzeń i rozpatrywać innego jako obdarzonego tą samą właściwością wyjścia z siebie, którą zdolny jest zastosować, świat zaś pozwala nam wyobraźnia traktować jako zamieszkały przez świadomości zdolne do zrozumienia punktu widzenia innego. Czyż nie tego właśnie mój kolega po piórze odmawia pisarzom imigrantom? Mój przyjacielu pisarzu – zwróciłam się do niego w myśli – wyobrażasz sobie prawdopodobnie, że pisarze obcego pochodzenia nie potrafią się zasymilować z literaturą quebecką, ponieważ nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jaka byłaby ta literatura w innych uwarunkowaniach, gdyby na przykład była literaturą montrealską, to znaczy gdyby wyobrazić sobie, jak realnie mogłaby wyglądać literatura związana z miastem takim jak Montreal, nie zaś z grupą etniczną czy z historią Franko-Kanadyjczyków. A może głos geometry to po prostu głos prowincji? Może jest tym, co bezustannie przeszkadza nam w przyswojeniu prawdziwej miejskości, w dostosowaniu się do prawdziwie różnorodnego świata, jakim jest miasto?

Literatura powinna być zwierciadłem naszego małego narodu – powiada książdź Casgrain. Zgoda, ale czy pomyślał o tym, że najlepszym ze zwierciadeł jest zawsze spojrzenie innego? Weźmy Paryż. Nikt lepiej nie sfotografował tego miasta jak Robert Doisneau, Francuz z dziada pradziada i, jak mi się wydaje, będący uosobieniem geometry. Ale też nikt lepiej nie sfotografował Paryża jak Brassai, Atgel i Kertez, owi imigranci przybyli z całkiem innych tradycji. Stworzyli oni swój obraz tego miasta, bez którego Paryż nie byłby Paryżem. Zatem Paryż to w nierozzerwalny sposób zarówno Paryż Doisneau, jak Paryż Kerteza i Brassai. Pomyślałam sobie, że problem nie polega ani na tym, żeby tłumić głos geometry, ani na tym, żeby domagać się od nawigatorów wpisania się do naszych katastrów. Nawigator zrywa cumy, pozostawia daleko za sobą przeszłość, ale uwozi z sobą pamięć. Żeby żeglować, nawigator nie może się obyć bez pracy geometry. Świat złożony z samych nawigatorów byłby pozbawiony sensu.

Choć literatura nie może dać nawigatorowi pewności uczestnictwa we wspólnym świecie, gdyż jest to rola polityki, to przecież literatura może pracować nad tym, aby polityka dała nawigatorowi tę pewność. Oczywiście literatura robi, co zechce. Nikt nie może przeszkodzić ludziom takim jak Louis-Ferdinand Céline w pisaniu arcydzieł, pomimo że ich pozbawiona wsparcia rozumu wyobraźnia dryfuje ku najbardziej destrukcyjnej paranoi. Nikt nie wie, nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy byłoby lepiej, czy byłoby moż-



liwe, żeby Louis-Ferdinand Céline był jednostką inną niż tą, którą się stał, i czy wówczas obdarzony byłby tym samym literackim geniuszem. To pytanie bezsensowne, choć od zadania go nie potrafimy się powstrzymać. Jednak wyobraźnia jest właściwością intelektu pozwalającą nam *zrozumieć*, że „my” geometrów, przemawiające z przeszłości chórem do naszego teraźniejszego „my”, obce jest „ja” imigranta i wszystkim „ja” przemawiającym z głębi czasu względem głosu imigranta przeszłego. Gdy pochodzący z innych krajów pisarze tworzą po francusku, mówiąc o „wy” postrzeganych przez siebie za obrazami kraju czy miasta, do którego niedawno przybyli, mówi się, że integrują się z literaturą quebecką taką, jaką ją zastali i że wpisują się w jej logikę. Wszelako jeśli to, czym jest literatura, szanujemy do tego stopnia, że uznajemy także dzieło Louis-Ferdinanda Céline’a, jeśli szanujemy pisarza łącznie z jego skrajnościami, jakim prawem i wedle jakiej logiki moglibyśmy domagać się od jakiegoś pisarza, żeby mówił o nas i na dodatek na nasz sposób? Jeśli mówi o sobie, o swoich zagranicznych korzeniach, o swojej pamięci, o przodkach czy o określającej genezę jego życia pamięci, o kraju pochodzenia, czy wreszcie gdy tworzy postaci, byty-w-świecie, w których świadomości wyznacznik etniczny po prostu już nie występuje, jak to ma miejsce w przypadku całego odłamu powieściopisarstwa naszego południowego sąsiada, gdy jakiś pisarz pisze w sposób niezgodny z tym, który dotychczas uznawaliśmy za typowy dla naszej literatury, to ten pisarz należy do naszej literatury, ponieważ należy do literatury. W przeciwnym przypadku, mój przyjacielu pisarzu, to my nie należymy już do literatury – myślałam sobie. Czyż nie zanadto ciążyło nam zamknięcie w jednolitości, w monolocie, w etniczności, w kolektywizmie, to, że nie znajdowaliśmy w sobie wystarczająco dużo siły, żeby wyrwać się z „grozy naszych kolebek”<sup>25</sup>? Wyobraź sobie – przemawiam do niego w myśli – czym byłaby literatura quebecka, gdyby stała się po prostu literaturą, gdyby – nie odrzucając go bynajmniej całkowicie – uwolniła się jednak od balastu swojej etnicznej tożsamości, gdyby stała się naprawdę światem, miejscem, z którego rozchodzą się wszystkie punkty widzenia, miejscem w Ameryce, w którym różnorodność wyraża się po francusku, gdyby stała się trampoliną dla pisarzy takich, jak Sergio Kokis czy Ying Chen! Czyż my pisarze w czasie promocji książek, posiedzeń komitetów nagród literackich, nie stajemy wobec tego samego problemu wyrażającego się pytaniem „jak wspólnie żyć?”, który w innej skali stoi przed całym naszym społeczeństwem? Czy chciałbyś, mój przyjacielu pisarzu, żeby w naszym małym kraju ktoś napisał kiedyś coś na podobieństwo tekstu, który niedawno opublikowano w Rosji po śmierci Josifa Brodskiego?

Oto, co można było przeczytać w podpisanym przez Igora Prelina artykule, który paryski *Le Monde* zamieścił w swoim wydaniu z 1 marca, a mo-

skiewska *Prawda* 8 marca: „W Stanach Zjednoczonych zmarł Josif Brodski. [...] Zdumiało mnie, że media ochrzciły Josifa Brodskiego ‘wielkim poetą rosyjskim’. Zadałem więc sobie pytanie: jakim prawem? Mogę się mylić, wydaje mi się jednak, że aby nosić to miano, nie wystarczy być laureatem Nagrody Nobla. Wiadomo przecież, że poeta jest w Rosji kimś więcej niż poetą! Czy Brodski zasłużył sobie na ten tytuł? Czy w swoich wierszach sławił Rosję lub może wyrażał się dobrze o narodzie rosyjskim? Niczego takiego sobie nie przypominam... Puszkina i Jesienina opiewali Rosję i naród rosyjski, dlatego też nazywa się ich ‘wielkimi poetami rosyjskimi’. W najlepszym wypadku Brodskiego określić można jako ‘poetę tworzącego po rosyjsku’ a i to nie bez zastrzeżeń, ponieważ w ostatnich latach coraz więcej pisał po angielsku. Na dodatek pochowano go nie w Sankt-Petersburgu, lecz w Wenecji. To co z niego za ‘Rosjanin’? Być może lepiej byłoby określić Brodskiego jako ‘wielkiego poetę żydowskiego’. Czyż on sam nie powiedział: ‘Jestem w stu procentach Żydem. Nie można być bardziej Żydem niż ja’. Żydzi nie będą mieli żadnych obiekcji. Tym bardziej Rosjanie”.

Ileż w tym małostkowości, obrzydliwej i zatrwazającej małostkowości! Wybaczycie mi, mam nadzieję, że zwróciłam waszą uwagę na rzeczywistość tak mało godną wielkości sztuki, że posłużyłam się starą, bardzo starą materią. Wiecie wszak, że powieść wymaga wydobycia na powierzchnię dobrych uczuć, ale też zmusza do badania pulsu społeczeństw, zwłaszcza gdy przejawiają skłonność do wpatrywania się w lusterko wsteczne.

Jako prosta obywatelka pragnę jednak, by udało nam się – jeśli jeszcze nie jest za późno – uniknąć syndromu *Prawdy*.

z francuskiego przełożył Krzysztof Jarosz

## Przypisy:

<sup>1</sup> Podstawą tłumaczenia jest tekst w brzmieniu, w jakim ukazał się w zbiorze esejów Monique LaRue *De fil en aiguille*, Boréal, Collection „Papiers collés”, Montréal 2007, s. 47–64. Na jego publikację zgodę wyraziło wydawnictwo Éditions du Boréal. Pierwotnie esej został opublikowany jako osobna broszurka przez wydawnictwo Fides w serii „Les grandes conférences” (Montréal 1996). Przyp. tłum.

<sup>2</sup> Terminem „transkultura” określa się w Quebecu zjawiska związane z wielokulturowością. W Kanadzie angielskojęzycznej zjawisko to nosi nazwę „multiculturalism”. Przyp. tłum.

<sup>3</sup> Po przegranym w 1995 drugim referendum w sprawie oderwania się prowincji od reszty Kanady, premier Quebecu Jacques Parizeau powiedział, że wybory zostały przez zwolenników niepodległości przegrane z powodu „pieniędzy i głosów mniejszości etnicznych”. Przyp. tłum.

<sup>4</sup> Polskie słowniki podają, że od nazwy własnej „Québec” nie tworzy się przymiotników, jednak trudno się do tego pravidła stosować w tekście, gdzie trzeba kilkakrotnie odwoływać się do nazwy mieszkańców kraju, o którym się mówi. „Quebekczyk” to zatem tutaj odpowiednik „le Québécois” (mieszkaniec Quebecu). Nazwę tę zaczęto stosować w połowie lat 1960, zastępując nią określenie *le Canadien-français*, które oddaję poniżej jako „Franko-Kanadyjczyk”. Nazwa ta pojawiła się w XIX wieku dla odróżnienia od angielskojęzycznych mieszkańców Kanady. Od początków francuskiego osadnictwa w Kanadzie, koloniści z Francji nazywali siebie Kanadyjczykami (*les Canadiens*), natomiast angielskojęzycznych mieszkańców Nowej Anglii, a po podboju Nowej Francji także lojalistów, którzy nie uznając niepodległości Stanów Zjednoczonych przenieśli się na tereny Kanady, zwali Anglikami (*les Anglais*). Termin „Anglicy” pojawia się do tej pory z zabarwieniem negatywnym, gdy chodzi o przeciwstawienie Quebekczyka (Franko-Kanadyjczyka, Kanadyjczyka) angielskojęzycznemu obcemu, dla podkreślenia, że ten ostatni jest w porównaniu z potomkami francuskich kolonistów elementem napływowym. Przyp. tłum.

<sup>5</sup> Aluzja do piosenki Claude’a Gauthier (ur. 1939) *Le grand six pieds* o mocarnym olbrzymim drwalu mierzącym sześć stóp, pracującym dla «Anglików», ale drwiącym sobie z nich i z klechów. Przyp. tłum.

<sup>6</sup> Autorka używa terminu „*de souche*” oznaczającego „pień”, „szczep (np. winorośli”, „przodka”, „protoplastę”, używanego na określenie kogoś, kto jest miejscowy od pokoleń. Przyp. tłum.

<sup>7</sup> Sergio Kokis (ur. 1944 w Rio de Janeiro). Mieszkający w Quebecu i tworzący po francusku powieściopisarz pochodzenia lotewsko-brazylijskiego, autor kilkunastu powieści. Jego pierwsza nostalgiczna powieść o dzieciństwie w Rio lat pięćdziesiątych XX wieku przeplatana refleksjami o sytuacji artysty-imigranta *Les Pavillons de miroirs* (1994) została obsypana nagrodami. Kokis nie uważa się za pisarza quebeckiego czy kanadyjskiego, lecz za mieszkającego w Quebecu malarza i powieściopisarza, który z wielu języków, w których mógł tworzyć, wybrał francuski. Po polsku ukazała się jego powieść *Mistrz gry* (Wydawnictwo Książnica, Katowice 2007, przełożył Krzysztof Jarosz). Przyp. tłum.

<sup>8</sup> Ying Chen (ur. 1961 w Szanghaju). Od 1989 mieszka w Quebecu, gdzie przyjechała studiować literaturę francuską na Uniwersytecie McGill. Autorka kilku powieści napisanych po francusku, ale mówiących głównie o Chinach lub Chińczykach. Przyp. tłum.

<sup>9</sup> David Homel (ur. 1952 w Nowym Jorku). Mieszkał w Europie, potem w Toronto, by wreszcie osiąść w Montrealu. Powieściopisarz wierny tradycji amerykańskiej powieści społeczno-politycznej, nagradzany tłumacz, publicysta. Przyp. tłum.

<sup>10</sup> Mówiąc o literaturze quebeckiej, Autorka używa tu ironicznie trudnego do przełożenia terminu „*distinct(e)*”, co znaczy „odrębny”, „nie dający się sprowadzić do”, „nieredukowalny do”, „odmienny”, nawiązującego do politycznej terminologii quebeckiej mówiącej o francuskojęzycznym społeczeństwie jako o „odrębnym” (w domyśle: od angielskojęzycznej społeczności innych prowincji Kanady). Termin „*distinct*” pojawia się w sporze Quebecu z angielskojęzycznymi prowincjami Kanady dla podkreślenia wyjątkowości, odrębności kulturowej tej francuskojęzycznej prowincji. Przyp. tłum.

<sup>11</sup> *Maria Chapdelaine*. Powieść francuskiego pisarza Louis’a Hémona (1880–1913), który po pobycie w Anglii, wyemigrował do Kanady, gdzie zatrudnił się na kilka miesięcy jako robotnik rolny na farmie pewnego Franko-Kanadyjczyka nad brzegami Jeziora Świętego Jana.

Wydana po tragicznej śmierci autora, powieść zyskała niezwykłą popularność: jej nakłady w wielu językach szły w miliony, doczekała się też kilku ekranizacji. Tytułowa bohaterka otoczona jest trzema adoratorami, których nazwiska i biografie są silnie zalegoryzowane. Pierwszy z nich to François Paradis, traper i włóczęga, drugi to Lorenzo Surprenant, przedstawiciel licznych Franko-Kanadyjczyków, którzy od końca XIX wieku emigrowali do USA, trzeci to niepozorny farmer Eutrope Gagnon. Po śmierci swojego ukochanego François, posłuszna „głosowi kraju”, postanawia wyjść za mąż za Eutrope’a (*eu-tropos*). Swoją drogą, choć LaRue nie wspomina o tym, być może dlatego, że analogia to niebezpośrednia, Hémon jako pierwszy w literackiej transpozycji ukazuje dwoistą naturę Franko-Kanadyjczyków: „nawigatora” (w tym sensie, że włóczęgi, trapera) François Paradis i „geometria” Eutrope’a Gagnon (farmera, posiadacza gruntu, który uprawia). Powieść spotkała się z nieufnym przyjęciem Franko-Kanadyjczyków, którzy nie byli do końca pewni, czy ich obraz jest w oczach autora pozytywny czy ironiczny. Pomnik Hémona, który wystawiono w Péribonka, miejscu, gdzie umieścił akcję *Marii Chapdelaine*, miejscowi wrzucili najpierw do wody. Przyp. tłum.

<sup>12</sup> Ksiądz Henri-Raymond Casgrain (1831–1904). Wydaje czasopisma *Les Soirées canadiennes* i *Le Foyer canadien*. W swoim czasie szara eminencja franko-kanadyjskiej literatury, której – zgodnie ze swym duchownym powołaniem – z powodzeniem usiłował nadać kształt religijny a przy tym nacjonalistyczny i siłą rzeczy etniczny, co w ówczesnej sytuacji, gdy pomijając autochtonów i nieliczne europejskie mniejszości narodowe, ludność prowincji składała się zasadniczo z „Anglików” i Franko-Kanadyjczyków, było w dużym stopniu oczywiste. Przyp. tłum.

<sup>13</sup> Odwołanie do tytułu i oczywiście też treści jednego z najważniejszych dzieł wielkiego socjologa quebeckiego Fernanda Dumonta (1922–1997) *Raisons communes*, Éditions du Boréal, Montréal 1995. Przyp. tłum.

<sup>14</sup> Neo-Quebekczykami (les Néo-Québécois) nazywa się niedawno osiedlonych w Quebecu imigrantów a szerzej, choć niezbyt precyzyjnie, imigrantów należących zwłaszcza do „widocznych mniejszości” (*minorités visibles*) wyraźnie odróżniających się swym kolorem skóry i bagażem kulturowym od potomków francuskich osadników. Przyp. tłum.

<sup>15</sup> Louis-Ferdinand Céline (właśc. Louis-Ferdinand Destouches, 1894–1961). Lekarz, powieściopisarz i eseista francuski. Przez wielu uważany za jednego z największych XX-wiecznych pisarzy francuskich, głównie z powodu nobilitacji argot, z którego tworzy język swoich utworów, a jednocześnie – w drugiej połowie lat 1930 autor antysemitycznych pamfletów, a za czasów niemieckiej okupacji Francji w latach 1940–1945 – kolaborant. Tu przykład genialnego twórcy, którego poglądy zasługują na potępienie moralne. Przyp. tłum.

<sup>16</sup> LaRue używa tu terminu „frilosité”, czyli wrażliwość na zimno, będącego eufemistycznym określeniem zamykania się w sobie czy wręcz ksenofobii, który przekładam jako zaściankowość. Przyp. tłum.

<sup>17</sup> Charles Baudelaire, *Kwiaty zła*, pod redakcją Marii Leśniewskiej i Jerzego Brzozowskiego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990, s. 335. Fragmenty pochodzą z wiersza *Podróż* w przekładzie Marii Leśniewskiej. W pełnym brzmieniu odnośne strofy brzmią następująco: „Lecz prawdziwi wędrowcy jadą od niechcenia, / Lekko niczym balony wznoszące się w niebo, / Posłuszni wyrokowi swego przeznaczenia, / Zawsze wołają: „W drogę!”, nie wiedząc dlaczego”. oraz: „Jedni z nas przed ojczyzną uchodzą zhańbioną, / Przed grozą swej kolebki. Są tacy szczęściarze, / Co nim w oczach jedynych na zawsze utoną, / Zdążą umknąć przed Cyrce o trującym czarze”. Przyp. tłum.



<sup>18</sup> Nowa Francja zasiedlona była przez katolickich francuskich chłopów. Po podboju kolonii przez Anglików w 1759 w Kanadzie francuskiej zakonserwował się katolicyzm i rojalizm, nawet jeśli ten ostatni oznaczał tylko nostalgię za utraconą łącznością z krajem przodków. Tymczasem od 1789 Francja stała się synonimem rewolucyjności, demokracji i laickości, których wyrazem była oświeceniowa myśl francuska. Stąd wśród nielicznych elit franko-kanadyjskich wyraźna pod koniec XVIII i w ciągu całego XIX wieku niechęć do asymilacji idei Oświecenia, skądinąd energicznie podsycana przez wierny koronie brytyjskiej ultramontański kanadyjski Kościół. Przep. tłum.

<sup>19</sup> Fryderyk Nietzsche *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo* (Przełożył Wacław Berent), Wydawnictwo Zys i S-ka, Poznań 2000, s. 109. Przep. tłum.

<sup>20</sup> LaRue używa terminu „geometra” w dawnym znaczeniu „mierniczego”, „jeometry”. Przep. tłum.

<sup>21</sup> Aluzja do powieści LaRue *La démarche du crabe* (Boréal, Montréal 1995), w której główny bohater cofając się w czasie jak krab usiłuje dotrzeć do ukrytego sensu wydarzeń ze swej osobistej i rodzinnej przeszłości, co prowadzi go do przewartościowania swojej dotychczasowej wizji świata. Przep. tłum.

<sup>22</sup> Germaine Guèvremont (1893–1968). Pisarka franko-kanadyjska. Jej powieść *Le Survivant* z 1945 jest uważana za ostatnie osiągnięcie „powieści o ziemi”, czyli utworów opiewających życie franko-kanadyjskich farmerów. Jednocześnie w tej powieści pojawia się tytułowa postać „Przybysza”, obywatela, który wprawdzie zatrudnia się jako parobek u zamożnych rolników, ale wnosi w życie osady powiew dalekiego świata. Przep. tłum.

<sup>23</sup> Friedrich Nietzsche, *Tak mówił Zaratustra*, przełożył Grzegorz Sowiński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2005, s. 122. Przep. tłum.

<sup>24</sup> Immanuel Kant, *Krytyka władzy sądzienia*, PIW, Warszawa 1986. Przełożył oraz opatrzył przedmową i przypisami Jerzy Gałecki. Tłumaczenie przejrzał Adam Landman, s. 209. Cytowane w przekładzie polskim zdanie nie pozwala na zrozumienie myśli autorki i Kanta. Owe „wyższe władze umysłowe” to, jak tłumaczy Kant w następnym akapicie, *sensus communis*, przez który „należy [...] rozumieć ideę zmysłu wspólnego, tzn. taką władzę wydawania o czymś sądów, która w swej refleksji uwzględnia w myślach (*a priori*) sposób przedstawiania właściwy też każdemu innemu człowiekowi, by przez to niejako skonfrontować swój sąd z całym rozumem ludzkim i uniknąć dzięki temu złudzeń [wypływających] z subiektywnych warunków indywidualnych, które mogą łatwo być uważane za obiektywne i wywrzeć ujemny wpływ na sąd” (ss. 209–210). Przep. tłum.

<sup>25</sup> Konsultowana przez tłumacza Autorka oświadczyła, że nawiązuje tu do przytaczanego wyżej określenia Baudelaire’a „groza swej kolebki”. Nie zaprzecza jednak – choć nie to było jej świadomą intencją – że w tym kontekście można je – jak uczynił odruchowo tłumacz – zrozumieć także jako aluzję do tzw. zemsty kołysek, czyli sloganu quebeckiego mówiącego, że niesłychana rozrodczość tego konserwującego swe wartości ludu w okresie od 1760 po lata 1960 była rewanżem za podbój i antidotum na angielską dominację polityczno-ekonomiczną. W tym okresie liczba francuskojęzycznej ludności prowincji wzrosła z 65 tysięcy do 6,5 miliona osób. „Zemsta kołysek” była jednocześnie w jakiejś mierze skutkiem nawoływań kleru sprawującego w tym okresie w Quebecu rząd dusz, a więc była to niejako rozrodczość w imię pomnożenia jednolitego potencjału etnicznego. Przep. tłum.